

Ekologiczny

kotek

i myszka

Wywiadu tego udzieliła nam osoba pracująca w dziedzinie ochrony środowiska. Rozmówca nie zgodził się autoryzować tekstu ze względu na to — jak się wyraził — że „rozmowa jest za ostrą”. Mając na uwadze doniosłość i pouczający charakter poruszonych kwestii, zdecydowaliśmy się opublikować ten wywiad — jednakże w takiej postaci, by rozmówca i jego miejsce pracy pozostały anonimowe.

— Kilka miesięcy temu Japończycy wystrzelili sondę, badając zanieczyszczenie powierzchni ziemi i atmosfery. Na podstawie dostarczonych danych zlokalizowali następnie w centrum Europy obszar, gdzie skażenie środowiska jest tak duże, iż życie nie powinno już tam istnieć. Wie pan, o jaki obszar chodziło?

— Czy to Polska?

— Tak, chodzi o kraj, w którym około 1/3 dostarczanej na rynek żywności nie nadaje się do jedzenia, gdzie na wodzie z kranu lepiej nie gotować dla niemowląt i gdzie rzeki o pierwszej klasie czystości są już zjawiskiem unikalnym. Dodajmy, że nasz kraj jest też największym truciwcem Bałtyku i podobno Szwedzi myślą poważnie, aby wybudować nam kilka oczyszczalni ścieków, gdyż to jedyny sposób na ochronienie ich własnego wybrzeża morskiego od degradacji.

— To wszystko prawda.

— A więc wiemy, już, gdzie jesteśmy. Pan, który czuwa nad czystością gleby, wody i powietrza, mógłby zapewne podać więcej ponurych przykładów degradacji środowiska?

— Cóż to za „czuwanie”, skoro największą karą, jaką można wymierzyć dyrektorowi fabryki za — na przykład — zrzucenie do jeziora Piaseczno pięćdziesięciu ton mazutu, jest mandat w wysokości dwóch tysięcy złotych. Tymczasem więcej może pan zapłacić za przekroczenie dozwolonej prędkości czy wjechanie samochodem w głąb lasu.

— Jaki akt prawny ustanowił tego rodzaju nonsens?

— Rozporządzenia wykonawcze do ustawy z 31 stycznia 1980 r. o ochronie i kształtowaniu środowiska. Przepisy szczegółowe sygnowane są przez Radę Ministrów, ale dużą rolę w ich opracowaniu odgrywa zawsze odpowiednie ministerstwo. W tym przypadku — Ministerstwo Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych.

— A więc nie wie prawica, co czyni lewica? Czy może inaczej; właśnie dlatego, że wie doskonale i zdaje sobie sprawę z konsekwencji, władza wykonawcza niweczy już w zarodku najlepsze intencje ustawodawcy?

— Zainteresowanie władzy problematyką ochrony środowiska jest duże i coraz większe. Świadczy o tym chociażby Plan Przestłżennego Zagospodarowania Kraju do roku 1995 czy — ostatnio — powołanie przy Radzie Państwa Komisji Spraw Ochrony Środowiska, której przewodniczy obecnie Kazimierz Barcikowski.

Dokończenie na str. 12

ROZMOWA Z AMBASADOREM USA W POLSCE (str. 2); Człowiek wytrąca Bogu dzieło stworzenia? (str. 2-3); Od czołgu do „Lubli- na” (str. 4-5); Przepis na domek (str. 5); Wiersze Józefa Łobodowskiego (str. 8-9)

PL ISSN 0137-4108 Nr Inđ. 36251

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

NR 16 (914)

7 sierpnia 1988

Cena 35 zł



Gondolierzy nad Wisłą.

Fot. Waldemar Stępien

Powrót poety

Andrzej W. Pawluczuk

OTO kolejny powrót poety. Ten powrót niweczy czterdziestoletnie zabiegi administratorów kultury, którzy chcieli nazwisko Łobodowskiego wykreślić z literatury polskiej. Ile jeszcze potrzeba będzie takich powrotów, aby selekcyjni myśliciele i sztuki przestali pobierać pensje za pracę, z której społeczeństwo nie ma żadnego pożytku?

Może padłszy czas, że to pytanie przestało być aktualne. Zatem należy nadrobić wieloletnie milczenie o sztuce Łobodowskiego i to jest pierwszy powód, aby o nim pisać. Ludzi, którzy wybierają emigrację, samotność i

niedostatek z powodów zasadniczych, powinniśmy przynajmniej usiłować zrozumieć, a nie z góry ich nękać. Nikt nie ma monopolu na polskość i trzeba, aby nasz kraj stał się miejscem dla wszystkich Polaków.

Drugi zaś powód jest już lokalny, prowincjonalny. Józef Łobodowski należy bowiem do tego niewielkiego kręgu pisarzy lubelskich, którzy zdecydowanie wyrosli ponad przeciętność. Jego sztuka poetycka jest wybitnie indywidualna, a jej ranga oraz miejsce w historii poezji, będzie na pewno rosła. Na razie przypomnijmy syl-

wetkę poety, który młodszą generacją jest zupełnie, lub prawie zupełnie, nie znany, ponieważ po roku 1945 nie ukazała się w kraju ani jedna książka Łobodowskiego, nawet w obiegu niezależnym.

Urodził się poeta w roku 1909 w Parwiżkach na Suwalszczyźnie. Lata 1914-22 spędził w Rosji, po czym wraz z rodzicami zamieszkał w Lublinie. Tutaj uzyskał maturę w Liceum im. Hetmana Jana Zamojskiego, studiował jakiś czas na KUL-u. Jako poeta i

Dokończenie na str. 8—9

Patentowanie zwierząt. Klonowanie ludzi jak kartofli. Astronauci z czterema rękami i chwytym ogonem.

Nauka o żywieniu dawno już dostrzegła, że głodu na świecie nie można zwalczać przez zwiększanie hodowli bydła, ponieważ każde zwierzę zużywa w postaci paszy więcej energii niż jej dostarcza w postaci mleka i mięsa. Mimo to specjaliści od techniki genowej właśnie niedożywieniem dużej części świata uzasadniają swoje próby wyhodowania nowych zwierząt domowych, łączących w sobie zalety różnych gatunków zwierząt.

Presja konkurencji, która do tej pory napędza rozwój tej nauki, zwiększa jednak również ryzyko. Amerykańska firma „Advanced Genetic Science” (AGS) przez cztery lata spierała się przed sądem z obrońcami środowiska naturalnego w sprawie przeprowadzenia w otwartym terenie eksperymentu z bakteriami, które zapobiegają wykształcaniu roślin i które AGS chciała wprowadzić na rynek, uprzedzając konkurencję. Obrońcy środowiska w koń-

brach „szklanego obywatela” nabiera nowego wymiaru. Cechująca wielu polityków mania gromadzenia coraz większej liczby danych o obywatelach zwiększa siłą rzeczy groźbę „zakładania kartotek z informacjami o dziedziczności”, które mogą potem być nadużywane do „eugenicznej dyskryminacji” ludzi. Gdyby np. z genów można było wyczytać podatność na AIDS, to nasuwałaby się myśl, by separować tych ludzi.

Jonas broni także „prawa do niewiedzy”. Klonowanie ma o tyle charakter tyranii, że potomstwo wiedziałoby, iż powtarza schemat życia „oryginału”. W ten sposób odebrano by mu ryzyko życia, możliwość wyboru między różnymi drogami. Człowieka klonowanego pozbawiono by swobody podejmowania decyzji. Filozof podejmuje jeszcze zupełnie hipotetyczny problem klonowania dlatego, że taka zbliżająca się możliwość zaczyna fascynować biologów, że klonowanie pewnego dnia stanie się realne, a więc powinniśmy być w porę ostrzeżeni!

Człowiek wytrąca Bogu dzieło stworzenia?

W 1982 r. uczeni amerykańscy wprowadzili gen szczura, zawierający informacje dla hormonu wzrostu, do organizmu myszy — rezultatem była mysz-gigant. Trochę później udało się wprowadzić ludzkie geny wzrostu do organizmu świni. Przyrost mięsa u tych zwierząt był faktycznie większy, ale wydaje się, że przyroda broni się przed takimi manipulacjami: świnię są chorowite i rozmnażają się z niezwykłym trudem.

Biochemik Chargaff określa mieszanie gatunków jako „obłąkany pomysł”, a Kościół ewangelicki przypomina o „szacunku dla życia”, wymaganym nie tylko wobec ludzi, ale i wobec zwierząt oraz roślin. Uchwała ostatniego synodu biskupów głosi m.in.: „Człowiek nie ma prawa eksperymentować z krzyżowaniem gatunków, nadużywając możliwości genetycznych”.

Amerykański Urząd Patentowy niewiele sobie robi z szacunku dla bożych stworzeń. W 1987 r. urząd ten postanowił, że można patentować organizmy wielokomórkowe, o ile występują w przyrodzie. Zgodnie z tym, autorzy programów genowych mogą regularnie wynajdywać zwierzęta i uzyskiwać na nie patenty, jak na zamki błyskawiczne czy otwieracze do konserw.

Jedną ze sprawdzonych definicji pojęcia „technika” głosi, że ma ona uwalniać ludzkość od zła i niedopuszczalnych obciążeń. Wydaje się, że robi to technika genowa w dziedzinie farmacji. Do tej pory nieodzowną dla chorych na cukrzycę insulinę trzeba było z wielkim trudem uzyskiwać z trzustki świni i krów. W 1979 r. udało się gen regulujący produkcję tego hormonu wprowadzić do bakterii, a wkrótce potem pewien amerykański koncern chemiczny rozpoczął produkcję insuliny z bakterii.

Specjaliści od techniki genowej robią postępy także w produkowaniu z bakterii szczepionek ochronnych przeciwko chorobom takim, jak malaria czy zapalenie wątroby. Ponadto pracują gorączkowo nad tym, by mikroorganizmy dostarczały dużych ilości rzadkiej dziś jeszcze substancji — interferonu, hamującego rozrost wirusów, i mają nadzieję na dokonanie przełomu w walce z nie opanowaną jeszcze armią zabójców — wirusami powodującymi nowotwory. A ich największym marzeniem jest wyizolowanie z przekształconych dzięki technice genowej wirusów — szczepionki, która chroniłaby ludzi przed zarażeniem się AIDS.

Filozof Jonas zastanawiał się jednak nad odwrotną stroną tego nowego pięknego świata genów: wprowadzenie hormonu wzrostu może zapobiec karłowatości dzieci z takim defektem genetycznym, ale można go stosować również wówczas, gdy nie występuje jego niedostatek, np. w wypadkach karłowatości uwarunkowanej etnicznie albo dla zaspokojenia próżności rodziców („duże jest piękne”).

cu przegrali, w 1987 r. próbę przeprowadzono. Od tej pory krytycy eksperymentu obawiają się inwazji manipulowanych jednokomórkowców z probówki. Nikt nie wie, czy te organizmy nie wymkną się spod kontroli, kiedy już raz wypuści się je na wolność. W każdym razie nie będzie można ich z powrotem pozbić.

To samo dotyczy manipulowanych organizmów, które mają przeciwdziałać chemicznym zanieczyszczeniom środowiska naturalnego i które mogą sprawić nam więcej kłopotów niż plagi biblijne Egipcjanom. Zdaniem amerykańskiego specjalisty od techniki genowej, Jeremego Rifkina, istnieje bowiem niebezpieczeństwo biologicznego zanieczyszczenia środowiska — o wiele większego niż zanieczyszczenie chemiczne. Można sobie wyobrazić, że sztucznie wytworzone mikroby będą się rozmnażać i podlegać mutacji w taki sposób, że zniszczą niezliczone organizmy naturalne.

Ta apokaliptyczna perspektywa ukazuje wyraźnie, że zalety tych szkodliwych skutków tkwią już w dobrych zamiarach uczonych. Istnieje jednak „zbawienny dystans między posiadaniem a stosowaniem jakiegoś narzędzia” (Jonas). Posiadanie specjalnych bakterii, dających się użyć np. do zwalczania zanieczyszczeń środowiska, nie zmusza nas do posłużenia się nimi.

Amerykański biolog Joshua Lederberg zaskoził w 1962 r. opinię publiczną pomysłem skonstruowania, za pomocą techniki genowej, astronautów z czterema rękami i chwytym ogonem. Ten laureat Nagrody Nobla widział w takiej istocie idealną formę przystosowaną do pracy w ciasnej kabine kosmicznej. Na szczęście udało się powiększyć wymiary sztucznych satelitów Ziemi, tak że nie potrzeba już lederbergowskich potworów.

Bardziej przerażający niż te koszarne wytwory wyobraźni jest kryjący się za nimi sposób myślenia: ludzi trzeba wyposażać w określone cechy zgodnie z zapotrzebowaniem. Jest to zamach na godność człowieka, która, według Immanuela Kanta, zakazuje używania jednego człowieka przez drugiego jako „środka do dowolnego wykorzystywania”.

Spośród 50 000 do 60 000 genów, jakie posiada człowiek, rozszyfrowano wprawdzie dopiero około 300, ale istniejąca wiedza już dziś wystarcza do dokonywania pierwszych testów genetycznych, za pomocą których można stwierdzić, czy np. jakiś robotnik jest szczególnie wrażliwy na działanie trujących chemikaliów. W niektórych wielkich firmach amerykańskich „genetic screening” („prześwietlenie genetyczne”) włączone jest już do testów przed przyjęciem do pracy.

Jeśli konsekwentnie zastanowić się nad tym wszystkim, co takie przeświecenie genetyczne może w przyszłości umożliwić, to przerażający o-

Już obecnie jest mnóstwo przykładów takiego nadużywania, jak np. amniocenteza, stosowana przede wszystkim w Indiach i w Stanach Zjednoczonych. Test ten polega na tym, że lekarz pobiera od ciężarnej kobiety komórki embrionu i ustala, czy dziecko będzie chłopcem czy dziewczynką. Jeśli płeć nie odpowiada życzeniu rodziców, w wielu wypadkach dokonuje się usunięcia płodu. W Anglii badania na początkowym etapie są dopuszczalne do 14 dnia po zapłodnieniu, w Szwecji — do 35 dnia.

W posiadanie „materiału embrionalnego” badacze wchodzą również przy zapłodnieniach poza organizmem matki (hasło: dzieci z probówki). Polega to na zapłodnieniu kilku pobranych z organizmu kobiety jajeczek przy czym część zapłodnionych jajeczek lekarze mogą przeznaczyć do celów badawczych. Genetycy zapewniają, że w Republice Federalnej nie dokonuje się takich eksperymentów. Nie ma jednak ustaw, które by zabraniały.

Bez względu na to, czy eksperymenty tego rodzaju są w pewnych granicach dozwolone, czy też całkowicie zakazane — biolog Chargaff żywi podziwienie, iż „wiele rzeczy, które dzieją się obecnie w klinikach ginekologicznych, przed czterdziestu laty zostałyby przekazane Trybunałowi Norwimerskiemu” — a więc temu trybunałowi, przed którym odpowiadali nazistowscy lekarze z: uprawianie „nieczłowieckiej medycyny”.

Technika genowa może urzeczywistnić dwie koszarne wizje: klonowanie ludzi i transfer genów do zarodka embrionalnego. Przez klonowanie rozumie się produkowanie całkowicie identycznego potomstwa w dowolnej liczbie. Ta forma występuje w przyrodzie w rozmnażaniu się ziemniaków i truskawek. W 1972 r. uczonym po raz pierwszy powiodło się klonowanie żab. Z komórki jelita żaby pobrali jądro komórkowe (które zawiera wszystkie informacje genetyczne o swoim „właścicielu”) i wszczepili je do pozbawionej jądra komórki jajowej zwierzęcia. Rozwinęły się z niej dokładne kopie żaby, na której przeprowadzono eksperyment. Później udało się klonowanie owiec i bydła.

Filozof-moralista Jonas pyta, co oznacza to dla ludzi? Ponieważ podziwiamy to, co wielkie, nasuwa się myśl, by „rasę ludzką zdobyło więcej Mozartów, Einsteimów i Schweitzerów”. O klonowaniu Beethovenów myśli się mniej, a o kopiach Nietzschego albo Kalki chyba w ogóle nie, osoby takie miałyby bowiem, tak samo jak oryginały, usposobienie melancholijne, i ich ponure myśli źle działałyby na nasze nerwy. Większe zapotrzebowanie byłoby natomiast na pogodnych geniuszów, którzy swoimi dziełami artystycznymi uroczą nas „budowali”. W takich życzeniach tkwią „jawne argumenty konsumentów”, zgodnie z którymi „im więcej dobrego, tym lepiej”.

Ważnym jest także ostrzeżenie biologów, że klonowanie pewnego dnia stanie się realne, a więc powinniśmy być w porę ostrzeżeni!

To samo odnosi się do tzw. terapii zarodkowej: chodzi tu o manipulowanie genami w zapłodnionym jajeczku, które to geny człowiek, powstały z tego jajeczka, przekazuje swojemu potomstwu. W ten sposób można by wymienić gen uszkodzony na zdrowy, zapobiegając przez to chorobom dziedzicznym. Abstrahując od ryzyka deformacji płodu wskutek nieodwracalnego błędów w sztuce, problem chirurgii prenatalnej to przede wszystkim możliwość „hodowli”: skądinąd zdrowe geny można by zastępować innymi, aby zwiększyć określone zdolności człowieka.

Pomysł wydawania na świat dzieci pięknych i utalentowanych jest tylko z pozoru kuszący. Dylemat powstaje już przy pytaniu, kto miałby podejmować decyzję, co i u kogo ma zostać udoskonalone. Rodzice? Specjalista od techniki genowej? Czy też jakaś komisja złożona z profesorów, duchownych i polityków?

Gdyby decyzja należała do wojskowych, to domagaliby się oni przypuszczalnie szaleńczo odważnych żołnierzy, typów zwycięzców. Zaś dyktatorze zależałoby zapewne na ludziach pozbawionych wszelkiej zdolności do krytyki, zachowujących się posłuszenie i poddańczo. A z drugiej strony, nad ludzie wyposażeni w lepsze zdolności, mogliby zgłaszać roszczenie do przewodzenia pozostałym masom ludzkim — jak pisał zmarły w 1984 r. katolicki teolog Karl Rahner.

Idea hodowania „wyższej rasy” fatalnie kojarzy się z nazistowskimi fantazjami o „rasie panów”. Każda ingerencja w rozwijającą się indywidualność jest ingerencją w odrębność każdego człowieka.

Karl Rahner, najbliższy katolicki teolog naszego stulecia, określił ulepszenie ulomnej istoty, jaką jest człowiek, jako „uszcześliwienie na siłę”, przy którym osoba obca — np. technik genetyk — rości sobie prawo do zdecydowania, jak ma wyglądać szczęście drugiego człowieka. Za pomysłem manipulowania na kształtującym się życiu kryje się desperacja, że nie możemy zdecydować o swoim życiu. „to, która neuroza”, która ciąży nam bardziej niż los, przed którym uciekamy.

Dla Hansa Jonasa takie zwyrodnienie techniki genowej to „awantura wynikająca z perwersji i ciekawości”. „Jest chyba mądrzej — pisał — przeciwstawiać się tu nawet pokusie spełniania czynów miłosiernych”. Błogo, sławieństwo, jakim technika genowa mogłaby być ewentualnie dla ludzi chorych, nie równoważy pływających z niej niebezpieczeństw.

Kawał diabła

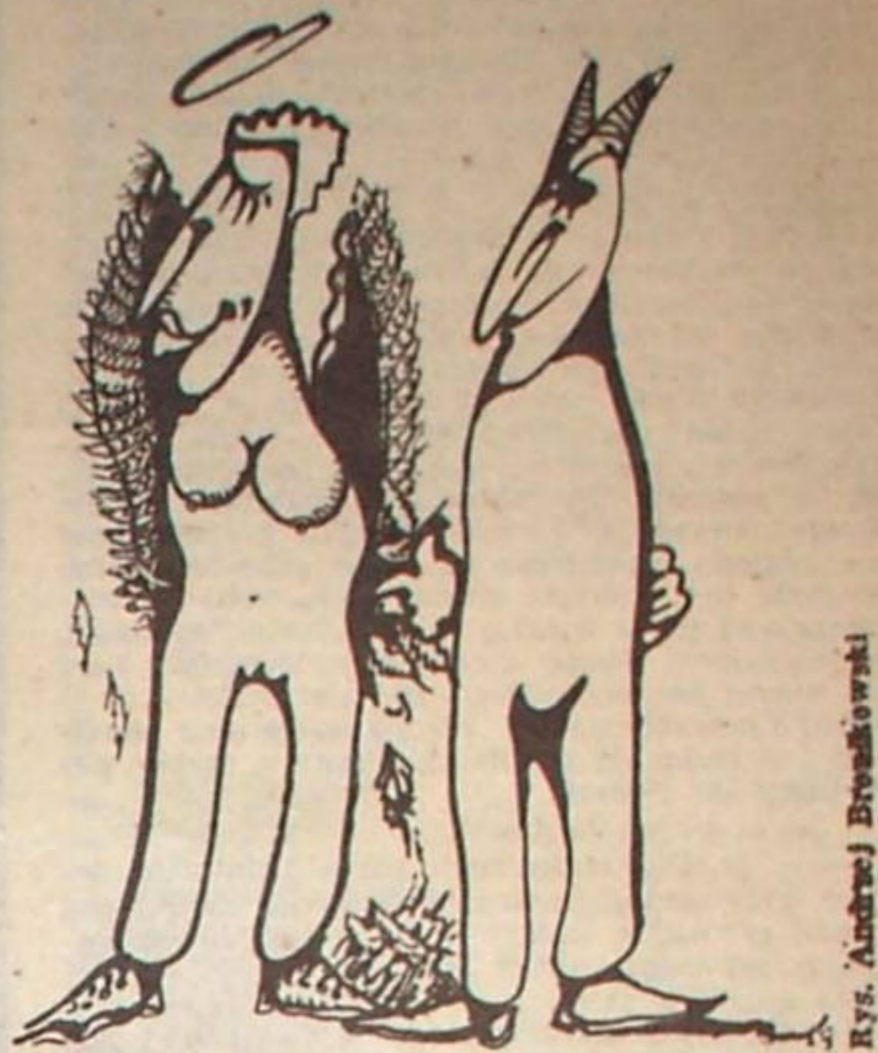
DIABEL, jak powszechnie wiadomo, to bestia podstępna, ciążąca grzechy ludzkie jak lichwiarz weksle, by niewyplacalnych delikwentów wyprawić do piekła. W biblijnej Księdze Rodzaju to się spręta lub rozpręta i przyjmuje postać węży, który skutecznie namawia Ewę do zjedzenia jabłka z drzewa wiedzy dobrego i złego, co powoduje wypędzenie pierwszych rodziców z rajskiego sadu i odebranie im przywileju nieśmiertelności. Tak przynajmniej prawia dziś katecheci, nie przyjmując do wiadomości wynurzeń Zenona z Verony, który rekonstruuje ów starodawny dramat, w miejsce węży podstawił naszego proajca: „Ogarnięty płomieniem nieczystej żądzy niewieściej, Adam członkiem, który zwykło się obrzezywać, zerwał zakazany owoc”. Jak było naprawdę, trudno dociec, jedno wszak nie ulega wątpliwości: że narzędziem szatańskich praktyk była kobieta. I tak już zostało po wsze czasy. Wiadomo przecież, że demoniczne inkuby po dziś dzień zapładniają śpiące niewiasty, nasieniem podstępnie wykradzionym mężczyznom — no i nie dziw się czytelniku, jeśli twój syn pierwotny, zdumiewająco podobny do złego sąsiada z

bloku, znów dostanie wezwanie do stawienia się przed wysokim kolegium, które — może nieważne, ale rychliwe — wlepi mu kolejne 50 tysięcy kary za wnoszenie niepolitycznych okrzyków w rodzaju: „Cała władza w ręce babi”. Sprawa koźtówna, ale przecież prosta, jako że diabeł z babą w jednej stoją willi (np. na Sławinku).

Szatan lubi uciechy zmysłowe, które zaspokaja zwykle lechtaniem materii, w dualistycznej koncepcji świata będącej głównym rezerwuarem zła. Jest więc postacią dwuznaczną, bo w końcu wywodzi się i bez reszty przynależy do świata ducha. Mało tego: w Księdze Hioba widzimy go wśród synów bożych, przybywających przed oblicze Pana, co zresztą nie daje spać teologom: święty Paweł zwał Szatana „Bogiem tego wieku”, a święty Jan — „Książciem tego świata”.

Zrozumiałe, że takie indywiduum wabiło i ciągle podnieca artystów, którzy przypisują Szatanowi różne role, nie zawsze budzące wstręt publiczności. I nie chodzi tu tylko o malowniczość i charakterologiczne skomplikowanie postaci. Pisarze i malarze igną do piekielnika przede wszystkim dlatego, że jest on uosobieniem wolności, permanentnej kontestacji. Rzecz można, że rozległe zagony sztuki od schyłku XIX stulecia rozkwitają w ciepłe diabelskiej stymulacji. Współcześnie widać to najwyraźniej w malowidłach „nowych dzikich” (!), którzy do Belzebuba mają stosunek wręcz przyjacielski.

Szatan, jak w średniowieczu, jest wśród nas; złożyły się na to różne powody, nie tylko artystyczne. Wyleguje się na ekranach kinowych i telewizyjnych („Egzorcysta”), niekiedy wielbiony bywa na sposób religijny (sataniści), to znów przeklinany jest, jako zło realne, przez księży i teologów.



Rys. Andrzej Broyński

O BATUSZKĘ KTÓRY LATAŁ PTAKIEM

2

Zbigniew Adrjański

Miasteczko nasze nieduże — prawdę mówiąc — dziura i świat zabity deskami. Życie jednak w nim można. Zresztą ja tam nikomu nie zazdroścę. A bo to wiele człowiekowi do życia potrzeba? Moim zdaniem, niewiele. Najważniejszy jest spokój i życzliwość sąsiedzka, żonka w miarę dobra, niegadatliwa, no i klimat, czyli atmosfera. A klimat mamy nie najgorszy. Gdzie indziej — słyszysz — burze, huragany, trzęsienia ziemi, wyże i nize baryczne, czort wie, co się z tą pogodą wyprawia... A u nas zawsze pogoda w granicach normy! Jak zima, to zima trzaskająca i śnieg aż po uszy, a jak lato — to z kolei laźnia i pocisz się zdrowo. Znam się trochę na tym, bo w ogrodzie, pod jabłonną, skrzynki z pogodą pilnuje, którą z takiego specjalnego biura od pogody aż z Białegostoku przywieźli. „Pilnujcie tej skrzynki i zapisujcie wszystko o pogodzie” — powiedział taki jeden uczonec. Może on i uczonec, chociaż po mojemu człowiek na pogodę wpływu nie ma i mieć nie może. Pilnować jednak pilnuje, bo mi nawet za to i trochę grosza kapnie. Co tydzień też regularnie meldunki pisze w sprawie pogody. Zawsze według wzoru: „Pogodnie albo dość pogodnie. Wiatry umiarkowane, południowo-zachodnie, ciśnienie takie a takie — cumulusów nie zauważyłem”. No i dopisek: „Obywatelu magistrze — bo ten uczonec od pogody to magistr — przyjeżdżajcie do nas na jabłuszka, miodek i pogaduszkę! Słowy w sadzie — to aż od samej słodyczy pękają! Takie mamy lato. A jak przyjeździecie, i coś mocniejszego na ząb się znajdzie”. Jakoś jednak nie przyjeżdża. Pisze, że czasu nie ma. I za czym oni w tym wielkim mieście tak gonią? Życia i tak nie przegonisz! Lubię też czasem mu napisać co się u nas dzieje.

— Fajnie piszecie — powiedział kiedyś. — U nas cały urząd czyta listy i zarykuje się ze śmiechu. I tak to wszystko między wierszami zreczenie układacie, że cumulusy w normie, że macie teraz pienie buraków, że ktoś tam komus w mordę da!

Trochę mnie to ubodło. Ostatecznie, co do buraków zgoda. Może nie w porę się wybrałem? Ale mordobicie wszędzie się może zdarzyć. No nie? Pisałem, bo akurat Nikołaj Aleksandrowicz Gra-

dusow — regent naszego chóru cerkiewnego — sprawiedliwie zasłużył sobie na to, żeby w mordę otrzymać. I otrzymał! — Do cudzej baby nie leż, nawet jak głos masz niczym trąba jerychońska i w oktawie śpiewasz. A jak leżysz, to tak, żeby cię nikt nie widział... Ech! Może rzeczywiście niedobrze się stało, że o tym wszystkim napisałem? Co robić? Taki już mam charakter i wszystko dokumentnie opisać muszę. To po dziadku, który nawet cały letopis cerkiewki naszej i parafii ułożył. Mordobicie jednak — jak już powiedziałem — choć wszędzie może się zdarzyć, u nas rzadko bywa.

Naród nasz na ogół spokojny, choć istna tu wieża Babel! Prawosławni, katolicy, mahometanie, jest nawet i Litwin — ale ten ateista, do kościoła żadnego nie chodzi. Nikomu to prawdę mówiąc — nie przeszkadza. Po swojemu każdy boga chwali. Stąd i kościoły mamy trzy: prawosławny, katolicki i meczet — w różnych stronach rynku porozrzucane. Cmentarze też trzy. Słowem: wszystko na miejscu. Kiedyś był czwarty cmentarz, żydowski, teraz jednak na nim tylko kozy się pasą.

W niedzielę aż przyjemnie posłuchać. W cerkwi dzwonią, w kościele organy grają, to znowu nasz chór im odpowiada, a z minaretu pomocnik imama — Ali Turczyński — mordę drze. Na święta Bożego Narodzenia czy też Wielkiej Nocy wszyscy sobie wizyty składamy. A bywa i tak, że najpierw katolicki „prazdnik” obchodzimy, później jeszcze nasz itd.

Najgorzej mają muzułmanie, czyli Tatarzy, którzy od trzystu lat w naszym miasteczku wyrobem baranich kozuchów się trudnią. Ich święta jakieś dziwaczne, bo zawsze dopiero w parę miesięcy po naszych wypadają. Na ramadan jednak wszyscy przed meczetem głowy odkrywamy i życzenia im składamy, a Tatarzy baraniną nas częstują. Kiedyś różnice były większe niż teraz, ale teraz wszystko się jakoś zatario na większą chwałę bożą, bo batuszka nasz prawosławny Igor Iwanowicz Bułyciński — między nami mówiąc — to człowiek tolerancyjny i elegancki. A i ksiądz proboszcz — choć na jezuitę wygląda — w kawalerii kiedyś służył, później w partyzantce i, prawdę mówiąc, bardziej z niego wojskowy niż ksiądz. Co się zaś tyczy imama — ten to właściwie chłop i gospodarz jak my wszyscy. Tyle, że kiedyś się w Wilnie na imama wyuczył i teraz, niewiele rozu-

miejąc, pacierze po ichniemu, czyli po muzułmańsku klepie.

Na koniec pozostaje sprawa najdrażliwsza: co się tyczy partii. Klasy robotniczej u nas niewiele, nie licząc robotników tartacznych, którzy do wyrębu lasów w okolicy Hajnówki kolejką wąskotorową dojeżdżają. Jedyna to, oprócz pekaesu, komunikacja z wielkim światem. W zimie jednak kolejka ta nie kursuje, bo przez zasy przejechać nie można. No, to i robotnicy przy babach, za piecem siedzą. Ubolewa nad tym nasz sekretarz, którego przysłał z powiatu. „Sezonowa klasa robotnicza — krzywiąc się powiada. — I jak z takim socjalizmem budować?”

Ten sekretarz — między nami mówiąc — to szychta wielka, może najważniejsza w naszym miasteczku. Pierwszego maja na trybunie stoi, perfum innych, jak leningradzkie, nie używa i na batuszkę oraz księdza zezuje. Jakie to miny ma kler w dniu święta państwowego? Ale ksiądz — nie w ciemną bitą — manifestację chwali, do kościelnej przyrównując, i twierdzi, że na Boże Ciało bardziej udana nie była. No, a Igor Iwanowicz Bułyciński na temat odśpiewanej międzynarodówki pozytywnie się wypowiada, w której to pieśni głos naszego regenta chóru cerkiewnego — Nikołaja Aleksandrowicza Gradusowa — dominował. I tak chyba być powinno. Zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Każdy niech wierzy w to, w co mu sumienie nakazuje.

Po mojemu sekretarz też w coś wierzy, i nie trzeba mu w tym przeszkadzać, ani też innym, co za nim idą. Zeby tak wszędzie było, może i świat byłby lepszy i nam, zwykłym ludziom, lżej było by oddychać.

Nieraz lubię sobie pomarzyć, choć czasu na to niewiele. Wychodzę więc, skoro tylko słońce zawita przed dom do sadu, na pierściu — gdzie swoje miejsce upatrzone mam od lat — siadam i pierwszego papieroska zapalając, marzę, co też mi ten nowy dzień przyniesie. W oborze krówki żonka doi, ciepłym mlekiem i nawozem też przyjemnie pachnie, a ja sobie marzę o powszechnym rozbrojeniu i o wiecznej życzliwości. Bo i na co komu wojny? Tę ostatnią wojnę tośmy okropnie przeżyli. Byłem ja i na światowej, i na tej, o której się teraz nie mówi — bo to niepolitycznie — ale czegoś podobnego, jak ta ostatnia wojna, powiadam wam, nie widziałem. Przewalila się i u nas ciężko. Pół miasteczka stratowała, wiele ludności żydowskiej zginęło, którą później pod lasem pochowaliśmy i tam do dziś leży... Zastanawialiśmy się nawet ostatnio, czy ich na żydowski cmentarz nie przenieść, ale z powiatu pismo przyszło, że lepiej grobów nie ruszać, bo są to mogiły mąsowej zagłady. No to nie ruszaliśmy.

Umarlemu i tak wszystko jedno, gdzie leży. Najbardziej jednak dzieci nam szkoda. Takich małych żydowiątek, których z rodzicami zabierano. Sam dzieci nie mam — widocznie taka wola boska — i jednego małego Lejzorka ze swoją starą sobie upatrzyliśmy. Matka też nas błagała, żeby go ukryć. A jak go ukryć, kiedy jeden niemiecki skurwysyn w oborze na stryszku go wywęszył... Było, minęło, chociaż żal pozostał...

Wracam jednak do tematu. Otóż myśleliśmy, że po tej wojnie zasłużony odpoczynek nam się należy. I żyliśmy nawet spokojnie, aby cicho i z dala od tych wszystkich spraw, które nie są konieczne, bo człowiekowi wiele się udaje, że to jest ważne, a tamto jeszcze ważniejsze — a to wszystko funta kłaków nie warte! Pilnowaliśmy też, żeby na nas zbytnej uwagi nie zwracano, bo i po co? Lepiej nie podskakuj — mówi przysłowie. Wyżej nosa

ukrzyżowały nas dnie bolesne
po stokroć,
a słowa dzikich modlitw przebiły ręce i nogi,
na niebie jesień — mgła — mokro
i nieprzebyte drogi — —
szatanie,
nie wiemy nic,
nie wiemy, co z nami się stanie.

przyjdź do mnie wieczór,
siądziem przy stole...
nie będziemy mówić
— po co?...
nie będziemy radzić
na próżno —
nie będziemy wołać o śmierć —
sama przyjdzie...
tylko ukryjem twarz w dłoniach
i pomyślimy
i popatrzymy sobie w oczy
po przyjacielsku — —

smutno nam obu...

(z tomu „O czerwonej krwi” 1931)

Piłsudski

Oto są ręce — młoty w zecerni,
jak w kuźni,
krew się lepi, nie farba na czarnych literach —
towarzyszu Piłsudski,
w trzydzieści lat później
Juljan Blachowski zabije Gastona Koehlera.

Wiem:
Litwa dzieciństwa jest wonią mirry i nardu,
ojczyzna kwitnie w palacu białego cieniach,
ale gdzie podziak się z sercem,
gdy czarny wstanie Zyrardów
i barykadą kamienną runie na progu sumienia.

Pomorze wbite włócznią w spienione ciało Bałtyku,
Śląsk buchający ogniem, Borysław naftą chlusta —
łatwo uskrzydlić się dumą,
piersi nadrywać od krzyków
i czyjeś święte imię po stokroć ślinić na ustach.

Łatwo szczerwienić skronie od tętniącego żaru,
gdy miastem marsz uderzy w ulańskie proporce,
a ciężiej przebić się młodym
przez słowa:

Polska i Naród —
i głowy na barach osadzić jak kosy sztorcem.

Szurki krzaczastych brwi niech szarym zwiążą się
lontem,

iskrą ze żrenic do dynamitu mózgu:
trzydzieści lat temu jak teraz
groził artykuł sto piąty,
serce człowieka szło na spotkanie
liktorskim różgom.

Za Belwederu oknami wichur nie ucichł,
spadek duchów umarłych siwą głowę obarcza, —
towarzyszu Piłsudski,
w przeddzień
polskiej rewolucji
trupy zagąstłych dni salutujemy na tarczach.

(z tomu „Rozmowa z Ojczyzną” 1936)

Na własną śmierć

Na obcej ziemi boję się umierać.

Bez lęku spotkam śmierć ojczyzną,
śmierć na ziemi, co mych prochów nie rozgubą.
Tam się oddam szeleszczącym liściom,
zamienię się w goryczkę i łubin...
Zeby mi lubelskie, ementarne słowiki
zanosily się co noc miłosnym krzykiem;
zebym wiedział, w ciepłą wtulony borowiną,
żem jest dla niej nie przybłądą, nie gościem,
lecz synem;
zeby mnie obcy kamień nie ziębił,
zebym każdym ścięgnem pilnie czuł,
że jak czarna próchnica, jak korzenie,
wraстам w ziemię,
aż do serca, aż do głębi,
w dno odwieczne,
w pradziadowski muł.

Zeby mnie głosy dochodziły z bliska
od wrosłego w płowy pagór majdanu.
Zeby małe dziecko litery nazwiska
zgadywało z deski, dżdżem na blich wytartej;
zeby na nadbystrzyckich rozlewiskach
kumkały żaby do białego rana;
zeby opary, wznoszące się z rozgrzanej gleby,

snuły się nad murawą mogilną
i zeby
dwoje młodych, wzięwszy się za ręce,
rozmawiało najczulej wśród grobowych płyt,
zebym na chwilę,
na jedną nie więcej,
znów usłyszał polskiej mowy rytm.

Zeby mnie deszcz przepoił i wichur wydeptał,
zebym się stracił, zagubił w letniej nocy szeptach
oszolomił listowia zwiędłym aromatem;
zeby, gdy się korzenie w mym sercu rozrosną,
młody krzew ponad głowę zaszumiał
i ludziom opowiedział z nadchodzącą wiosną
wszystko to,
czegom ja już nie umiał.

A na obcej ziemi boję się umierać...

(z tomu „W połowie wędrówki” 1972)



Józef Łobodowski

W Zemborzycach

Pani Wenus wszędzie zastawia swe zatraski,
więc to samo dziać się musiało w Lublinie.
Podobno młodzi wciąż całują się
w Ogrodzie Saskim,
a Bystrzyca też podobno ciągle płynie.

Spływało się kajakami do Zemborzyc,
w tamtych lasach było dosyć mchów i czernic.
Po to właśnie wyrok bóstu
nas wszystkich stworzył,
więc musieliśmy wyrokowi być wierni.

Pieniła się woda przy starym młynie,
noce i gwiazdy przeglądały się w głębinie,
bo każda noc była znojna i gwiezdna...
I co? — Bystrzyca ciągle jeszcze płynie?
Bez nas?!

(z tomu „Dwie książki” 1984)

Powrót poety

rażną cezurę w jego poezji. Drugie, zmienione wydanie „Rozmowy z Ojczyzną” oraz „Demonom nocy” ukazują już Łobodowskiego jako człowieka, którego umysł zaprzęta najbardziej problem zła i dzikich, nieokreślonych sił, które wyzwalają się w jednostce i zbiorowości. Charakterystyczne także, że on sam za swoją pierwszą, „prawdziwą” książkę uznał dopiero „Rozmowę z Ojczyzną”, wcześniejsze zaś to, jego zdaniem, „błędy młodości, które były nauką i doświadczeniem”.

Należy zatem odrzucić upowszechniane przed wojną przez KPP oskarżenie, iż Łobodowski był konfidentem policyjnym, a pobyt w ZSRR posłużył mu tylko za pretekst do opluwania komunizmu, którego zawsze był wrogiem. Gdyby tak rzecz się miała, nie przeżywałby przecież takich rozterek i nie zostawiłyby one w osobowości poety tak wyraźnych śladów. Dodajmy, że za „Demonom nocy” Polska Akademia Literatury uhonorowała Łobodowskiego Nagrodą Młodych.

W roku 1939 poeta przedostał się do Francji i tam, po klęsce w roku 1940, wydawał miesięcznik „Wrócimy”. Tamże, w Nicei, wydał swoją pierwszą książkę na obczyźnie. Jest to zbiór wierszy poświęconych tragicznemu wrześniowi 1939, zatytułowany „Z dymem pożarów” (1941). W roku 1941

podjął poeta próbę przedostania się przez Hiszpanię i Portugalię do Anglii. Aresztowany przez policję hiszpańską, przesiedział kilka miesięcy w więzieniu. Ostatecznie osiadł w Hiszpanii na stałe i mieszkał w Madrycie do swojej śmierci w kwietniu 1988 roku.

Ogłosił następujące zbiory poezji: „Modlitwa na wojnę” (Londyn, 1946), „Złota Hramota” (Paryż, 1954), „Pieśń o Ukrainie” (Paryż, 1959), „W połowie wędrówki” (Londyn, 1972) oraz ostatni — „Dwie książki” (Paryż, 1984). W każdym razie, kiedy wyjeżdżałem z Francji w grudniu 1988 roku, była to ostatnio wydana książka Łobodowskiego i nie mam możliwości biyskawicznego sprawdzenia, czy od tamtego czasu nie wydano nowego zbioru. Jeżeli nie — to nie ogłoszona spuścizna po Łobodowskim musi być duża. W przedmowie do „Dwóch książek” napisał on bowiem, że tomik ten zawiera „niezbyt wielką część twórczości autora z ostatniego, emigracyjnego okresu”.

Dotychczasowe opinie krytyków o pisarzu (emigracyjnych i krajowych) są jeszcze powierzchowne i fragmentaryczne, a stosunkowo najobszerniejszą przedstawił na razie Zygmunt Lichniak w „Kierunkach”. Na emigracji kompetentnie pisała o twórczości Łobodowskiego Maria Danilewicz-Zielińska

w swoich „Szkicach o literaturze emigracyjnej”, (Paryż, 1978). Dłuższy tekst krytyczny znaleźć też można w dwutomowej, fundamentalnej „Literaturze polskiej na Obczyźnie 1940-1960”, wydanej w Londynie pod redakcją Tymona Terleckiego w 1964-65 r. Istnieje zgoda, że Łobodowski jest poetą nierównym, „bujnym” — czyli nie zawsze panującym nad żywiołem języka. Zgadzać się z tymi opiniami, ale chciałbym mocno podkreślić, że posiada on w swoim dorobku wiele wierszy naprawdę znakomitych, które upoważniają go do zajęcia ważnego miejsca w historii polskiej poezji.

Sam poeta powiedział: „najbliżsi prawdy są ci, którzy uważają mnie za kontynuatora szkoły ukraińskiej z pierwszej połowy XIX wieku”. Właśnie na powinowactwo ukraińskie zwraca szczególną uwagę Danilewicz-Zielińska we wspomnianych „Szkicach”. „Najmocniejszą stroną twórczości Łobodowskiego — pisze — są wiersze na tematy ukraińskie i wołyńskie oraz przekłady poetów ukraińskich. Oryginalne wiersze Łobodowskiego z tej kategorii tkwią mocno w tradycji pre-romantycznej, gloryfikując Kozaczyznę na podobieństwo szkoły ukraińskiej (Malczewskiego, Goszczyńskiego, Zaleskiego i mniej znanego, ale właśnie podobnie interpretującego dzieje Ukrainy, Tymona Zaborowskiego). Własnym

wkładem Łobodowskiego jest wyraźne akcentowanie grzechów polskich, dawniej w stosunku do Kozaczyzny nadnieprzańskich w granicach Rzeczypospolitej przedrozbiórowej, potem do ludu ukraińskiego — w okresie powstań, a wreszcie w stosunku do mniejszości narodowej w Dwudziestolecie. Niewątpliwą zasługą Łobodowskiego jest zapoznanie czytelników polskich z twórczością „nowych” poetów ukraińskich (Malaniuka, Tyczyny, Bazana i in.) i wyjście z kręgu Szewczenki i Lesi Ukrainki. Docenili to Ukraińcy, nazywając Łobodowskiego łącznikiem między literaturą polską a ukraińską, a nawet „odkrywcą Ukrainy” [...].

Łobodowski był nie tylko poetą. Wydał również dwa obszernie cykle powieściowe (akcja drugiego, czterotomowego, dzieje się w Lublinie, a bohaterami są autentyczne postaci, ukryte pod zmienionymi nazwiskami, ale łatwe do rozpoznania przez każdego, kto pamięta przedwojenny Lublin). Był również czynnym i bardzo płodnym publicystą politycznym; zdaniem Marii Danilewicz-Zielińskiej — „obdarzonym rzadko spotykaną trafnością przewidywań kierunku wydarzeń światowych”. Ta przede wszystkim jego działalność spowodowała, że przez cztery dziesiątki lat nazwisko Łobodowskiego było u nas niecenzone.

Zgodnie z ostatnią wolą poety, urna z jego prochami będzie przewieziona do Polski i pochowana w Lublinie.

Andrzej W. Pawluczuk

— Ale z przykładu, który pan podał, wynika, że większe zagrożenie dla społeczeństwa upatruje Rada Ministrów w tym, iż ktoś przekroczy dozwoloną prędkość o 10 km/godz., niż w tym, że z powodu czyjejś głupoty, zaniedbania czy brakorobstwa ulegnie skażeniu chemicznemu źródło wody dla kilkudziesięciu tysięcy osób. Czyż nie tak?

— Stawia pan sprawę na ostrzu noża. Natomiast jeśli myśli pan o przeciekającym zbiorniku CPN przy ul. Zemborzyckiej, to mogę pana uspokoić. Ropa nie przedostała się do ujęć wody pitnej.

— Ale zagrożenie jest realne? A nawet — prawdopodobne?

— I realne i prawdopodobne, ponieważ zbiornik wadliwie zlokalizowano i nie dostosowano jego konstrukcji do bardzo specyficznych warunków geologicznych podłoża. Zajęła się tym ochrona środowiska i mogę zapewnić pana i czytelników, że zbadała sprawę uczciwie.

— Jaki był skutek tych badań?

— Postawiono wniosek, że zbiornik CPN powinien być przeniesiony w inne miejsce. Jest to bowiem jedyny sposób, aby całkowicie wyeliminować zagrożenie.

— To było dwa lata temu, w roku 1986. Nie zauważyłem jakoś, aby zaczęto przygotowania do tych przenosin.

— Tak. O ile mi wiadomo, zbiornik nie będzie przeniesiony w dającej się przewidywać przyszłości. Jest to nie-realne ze względów ekonomicznych. Takiego argumentu użył przedstawiciel CPN, a Miejska Rada Narodowa musiała się z tym zgodzić.

— Czy naprawdę musieli? O ile pamiętam propagandę wyborczą przed tamtymi wyborami, twierdziło się, że rady narodowe będą już teraz na pewno autentycznymi gospodarzami na swoim terenie. A zatem MRN mogła chyba nakazać trucielowi przeniesienie zbiornika. W końcu CPN to bogata firma, nie oszukujmy się...

— Ma pan rację. Rada Narodowa mogła tak uczynić, ale nie uczyniła choćby dlatego, że bardzo niewielu radnych zdawało sobie sprawę z wagi tego problemu. To jest osobne zagadnienie: brak świadomości ekologicznej u ludzi, którzy rządzą krajem. Zagrożenia i głosy ostrzegawcze są lekceważone, dopóki nie wydarzy się katastrofa. Tak jest najczęściej.

— Zatrzymajmy się jeszcze raz przy tym przykładzie, który dobrze pokazuje systemowe przyczyny ekologicznej degradacji naszego kraju. Czy pan, jako fachowiec, nie mógł przekonać radnych, że nie można tej sprawy zostawić? Przecież kwestia została gruntownie zbadana przez osoby kompetentne. Katastrofa już raz się wydarzyła, więc?...

— A czy pan nigdy nie spotkał się z murem niechęci i braku zrozumienia nawet wówczas, gdy miał pan oczywistą rację? Ponadto, na ile znam mechanizmy, to gdyby nawet radni przegłosowali wniosek o przeniesieniu zbiornika, nie byłoby w stanie nakazu takiego wyegzekwować. A świadomość niemocy nie dodaje raczej skrzydeł. Przeciwnie, zniechęca. Lepiej oszczędzać energię na sprawę, którą uda się załatwić.

— Podsumujmy zatem tę część rozmowy. Po pierwsze — niewielu mogą ludzie badający przestrzeganie ustawy o ochronie środowiska. Powiedzmy brutalnie: dyrektor dużego zakładu może skwitować mandat ironicznym uśmiechem i dalej robić swoje. Niewiele także mogą działać radni i, jak sądzę, przyczyną tego stanu rzeczy polegałoby nie tylko na tym, że większość radnych nie posiada odpowiedniej wiedzy. Włóż co właściwie można?

— To jest dobre pytanie. Założmy, że raz przyłapano jakąś fabrykę na rzucaniu nieoczyszczonych ścieków do jeziora. Nalożono mandat w wysoko-

ści dwóch tysięcy złotych, wydano zalecenie usunięcia nieprawidłowości i termin, w jakim ma to być zrobione. Po tym terminie można znowu przyjechać na kontrolę. Najczęściej tak się dzieje, że laboratorium pobierające próbki na miejscu przyjeżdża dopiero następnego dnia. Tych kilkanaście godzin wystarcza często dyrektorowi na czasowe wstrzymanie emisji trujących ścieków. Załamuje się na przykład jakiś wydział i z instalacji wy-

postępująca wciąż degradacja, której nikt nie zaprzeczy.

— Jakie postanowienia powinny być wpisane w taką koncepcję?

— Przede wszystkim takie, że rozwój gospodarczy musi być dostosowany do możliwości środowiska. Inaczej — zmieszczymy życie w kraju, a zatem podetnielemy gałąź, na której siedzimy. Człowiek nie może istnieć bez przy-

raz zwiększoną zachorowalność, w tym na choroby nowotworowe. Obszary takie zajmują ogółem przeszło 35 tys. km kw. i mieszka na nich blisko 13 milionów Polaków. Te liczby pokazują dopiero, jak ogromny jest problem.

— Co więc można zrobić w sytuacji, gdy niczego nie można zrobić?

— Niech pan jednak nie przesadza. Degradacja środowiska postępuje.

Ekologiczny kotek i myszka

plywa czysta woda. Kontrola odjeżdża więc z niczym, a zaraz po jej wyjeździe zakład znowu zaczyna truć. Jest to często zabawa w kotka i myszkę, gdzie ochrona środowiska stoi na przegranej pozycji.

— Nie bardzo rozumiem. Dlaczego laboratorium nie może przyjeżdżać razem z inspektorami?

— Po prostu „ochroniarze” nie mają własnego laboratorium. Korzystają

rodny, a jednak niszczy ją bezwzględnie.

— Przeciwny jestem takiemu stawianiu sprawy. Środowisko w Polsce niszczone jest nie przez jakiegoś człowieka „w ogóle”, ale konkretnych ludzi, działających w ramach konkretnych ustaw, przepisów prawnych, czyli bardzo konkretnego porządku społeczno-politycznego. Praktyka jest bowiem taka, że z powodu inercji systemo-

prawda, nie postępowałyby jeszcze szybciej, gdyby „ochroniarze” nie nie robili i załamali ręce.

— Na przykład?

— Proszę bardzo. Gdyby nie intensywne starania, w Krzczonowskim Parku Krajobrazowym byłoby wysypisko odpadów przemysłowych z WSK Świdnik.

— Kto upadł na taki pomysł, kogo trzeba było przekonać, aby z niego



Fot. Leo Sarnecki

z usług ośrodka badawczego, który podlega komu innemu. Jako klienci są zazwyczaj na drugiej pozycji i trudno się nawet temu dziwić.

— Wniosek byłby zatem następujący: nie można wiele zdziałać, ponieważ przepisy wykonawcze, i struktura organizacyjna uniemożliwiają szybkie i skuteczne działanie. W zasadzie można efektywnie zbadać stopień skażenia, a i to — okazuje się — nie zawsze. Ale dlaczego, pana zdaniem, wszyscy martwiący się o ochronę środowiska mają w zasadzie związane ręce? Dlaczego — na przykład — rada narodowa nie chce korzystać ze swoich praw gospodarza terenu? Dlaczego wreszcie Sejm nie postawi sprawy ostro, przecież posłowie znają problematykę, gdyż rząd raz na trzy lata składa sprawozdanie z realizacji odpowiedniej ustawy? Zapytajmy inaczej: dlaczego tak się dzieje, że chociaż coraz więcej wiemy, piszemy, mówimy publicznie o ochronie środowiska, to na przekór temu od lat to środowisko jest coraz bardziej zatrute i proces degradacji wciąż postępuje? I chyba nie przesadzę, jeżeli wyrażę opinię, że nie zanosi się na to, aby w dającej się przewidzieć przyszłości proces degradacji środowiska w Polsce został zatrzymany.

— Przyczynę tego stanu rzeczy upatruję w tym, że brak jest politycznej koncepcji ochrony środowiska. Stąd

wych utrzymuje się w kraju archaiczną strukturę przemysłową, że priorytetowe są w dalszym ciągu nie i huty, a nie zdrowa żywność i czyste powietrze.

— Oczywiście. Gdyby bowiem władza miała polityczną koncepcję ochrony środowiska, nie budowano by Huty „Katowice”.

— Proponuję teraz, abyśmy powrócili do sprawy naszego regionu. Gdzie jest najczystszej?

— Zdecydowanie na Podlasiu, ale i tam dwie największe rzeki są mocno zanieczyszczone. Krzna jest właściwie ściekiem, a i w Bugu także lepiej się nie kąpać.

— A w pozostałych województwach?

— Wszędzie źle. Spośród dwudziestu siedmiu rejonów zagrożonych ekologicznie, jakie wyszczególniono w kraju — dwa znajdują się w regionie lubelskim. Rejon puławski, obejmujący ponad 700 km kwadratowych, i chełmski obszar ekologicznego zagrożenia o powierzchni 1,5 tys. km kw. Są to obszary charakteryzujące się m.in. następującymi cechami: utratą zdolności glebotwórczych, zakłóceniem gospodarki wodnej, skażeniem wód podziemnych, degradacją szaty roślinnej, deformacją warunków mikroklimatycznych. To wszystko powoduje, że na obszarach zagrożenia ekologicznego notuje się większą umieralność

zrezygnował, i jak długo trwało takie przekonywanie?

— Trwało to pół roku i... przekonać wojewodę, wojewódzkiego dyrektora Wydziału Ochrony Środowiska oraz dyrektora WSK musiano w końcu zagrożić skierowaniem sprawy do prokuratora.

— Cieszę się z tego sukcesu, ale jednocześnie dziwię się, że wobec tego rodzaju ludzi nie wystarczyły fachowe argumenty. Przecież racja była niepodważalna.

— Oczywiście. Wysypisko zlokalizowano na podłożu przepuszczalnym jak sito, w dorzeczu Radomirki, 12 kilometrów od budowanego ujęcia wody pitnej dla Lublina. Znaczy to, że po jakimś czasie w ujęciu tym pojawiłaby się skażona woda. Ale jak widać, nie był to dobry argument.

— Może wojewoda miał prywatną studnię?

— Proszę pana, polityków i dyrektorów charakteryzuje często podwójna moralność, ponieważ nie rozlicza się ich z tego, co zrobił dla kraju, ale z tego, jak wywiązują się z poleceń przełożonych. Nie chcą przez to powiedzieć, że mają złą wolę. Nie. Ich system wartości jest zupełnie inny niż na przykład mój, dlatego nie zawsze trafić do nich można argumentami, które dla mnie są oczywiste.

Rozmawiał:
Paweł Andrzejewski

„Piraci” czyli przygoda Polańskiego

DWA lata temu, podczas gdańskiego Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych, witało entuzjastycznie w kinie „Leningrad” Romana Polańskiego przed projekcją wyświetlanych na specjalnym pozakonkursowym pokazie — „Piratów”. Po projekcji — entuzjazm widzów był już mniejszy.

Ten, z ogromnym rozmachem inscenizatorskim, przy wielkim nakładzie kosztów i z udziałem renomowanych artystów zrealizowany, gigantyczny film — przygoda jakby nie aprestal oczekiwaniami publiczności.

A przecież „Piraci” zostali pomysłani nie tylko jako film przygodowy, ale także jako komedia. I to komedia bardzo szeroko zakreślona: sięgająca od humoru intelektualnego po burleskę i sennetowski slapstick. A więc taka, która zdolna jest zadowolić zarówno wyrafinowanego, jak i tzw. „szerokiego” widza!

Niezwykle perypetie bohaterów „Piratów” zwalistego, rubasznego korsarza, kapitana Reda, i jego podwładnego, drobnego, zwinnego, pełnego niezwykłych pomysłów, porucznika Mafiatre’a, zwanego Zabą — widzowie polscy odebrali chłodno.

Jak się zresztą okazało, film Polańskiego został podobnie odebrany (czy może raczej: nie odebrany?) w wielu krajach świata. Mimo gigantycznej reklamy wcale nie podbił publiczności francuskiej. W Stanach Zjednoczonych — na które głównie liczyli realizatorzy i producent — frekwencja zaczęła się rozkręcać dopiero po dobrych kilku tygodniach obecności „Piratów” w tamtejszych kinach. Mało przychylnie potraktowała film krytyka. A i jurorzy znaczących światowych nagród i festiwali nie obdarzyli go nadmiernymi honorami. Francuskie „Cezary” 87 za scenografię dla Pierre’a Guffroya i za kostiumy dla Anthony Powella (całkowicie zasłużone!) to jednak było mało jak na film o tak wielkich ambicjach i tak bardzo oczekiwany.

Ostatecznie głównym bohaterem „Piratów” i największym ich osiągnięciem artystyczno-technicznym stał się... wspaniały, blisko siedemdziesięciometrowy galeon „Neptun” (wyposażony w najnowocześniejsze, ukryte głęboko pod pokładem urządzenia nawigacyjne i silniki), replika XVII-wiecznego okrętu, na którego pokładzie rozgrywa się większość akcji. Ale... jeden galeon nie czyni wiosny.

Pyszny trójmasztowiec, niosący na swych pokładach sto dwadzieścia dział, a na rejach cztery i pół tysiąca metrów kwadratowych żagli, zacumowawszy na redzie portu w Cannes, stał się wprawdzie jedną z głównych atrakcji tamtejszego festiwalu. Tego wszak nie można było nieestety powiedzieć o samym filmie, który ów festiwal otwierał.

W ciągu ostatnich dwóch czy trzech lat napisano dostatecznie dużo na temat zaangażowania reżysera, scenarzysty, scenografów, operatorów, aktorów i



statystów w realizację „Piratów”. Zbyt wiele przeprowadzono rozmów i wywiadów na temat trudności piętrzących się przed reżyserem i całą ekipą przy tego rodzaju superprodukcji (w której brała udział, nawiasem mówiąc, wcale spora grupa polskich współtwórców: od autora zdjęć Witolda Sobocińskiego i reżysera II ekipy, Andrzeja Kostenki, po kaskaderów), aby teraz, kolejny raz, przytaczać te wszystkie fakty, dane oraz liczby, którymi starano się zilustrować precyzyjność filmowej maszyny produkcyjnej. Może natomiast warto zastanowić się, na ile właśnie precyzja i perfekcyjność „Piratów” zaważyły na dość miernym sukcesie artystycznym i kasowym filmu Polańskiego?

„Piraci” wyniknęły z marzenia Romana Polańskiego. Ze zrodzonej jeszcze w latach chłopięcych wizji „pirackiej przygody”, wyniesionej po lekturze książek, których bohaterami byli kapitan Blood i kapitan Flint; z filmów, których bohaterami byli Douglas Fairbanks i Erol Flynn. Na jedno z pytań o „Piratów”, zadane przez dziennikarza podczas festiwalu w Cannes, reżyser odpowiedział szczerze: „Film reprezentuje kino, jakie kochałem, będąc chłopcem”.

Jako mężczyzna pięćdziesięcioletni Polański otrzymał szansę zrealizowania swoich marzeń chłopięcych. I to szansę wyjątkową. Mógł zatem nie tylko opowiedzieć „własną” piracką historię. Mógł nie tylko odwołać się w niej, szermując zręcznie i obficie pastiszem, do licznych podobnych historii, którym zachwycał się przed laty jako widz. Ale także — dzięki ogromnym możliwościom finansowym, jakimi dysponował — był zdolny do nadania swym niegdyś marzeniom prawie zupełnie realnego, namacalnego kształtu.

Dlatego z taką precyzją, takim składem kosztów, z takim zaangażowaniem i z taką perfekcyj-

nością budował swój wojenny, wspaniały galeon który może odbywać dalekomorskie podróże. Z podobnego względu kładł ogromny nacisk na odtworzenie każdego szczegółu w strojach aktorów, w ich fryzurach, a sposobie zachowania się czy renowania — żeby wszystko było tak jak w czasach prawdziwych korsarzy czy prawdziwych grandów hiszpańskich żyjących w siedemnastym stuleciu.

Perfekcyjność „Piratów” miała być oczywiście jednym z magnesów przyciągających uwagę milionowych potencjalnych widzów kinowych na całym świecie. Miały ich — nie mniej od akcji dziejącej się na ekranie — oszołamiać sumy pieniędzy wydanych na realizację. Ale tak naprawdę to chyba Polański kręcił ten film przede wszystkim dla samego siebie.

Oglądając „Piratów”, odnosi się nieodparte wrażenie, że do nakręcenia przedstawionych na ekranie scen wystarczyłyby doskonale makiety i zminiaturyzowane modele żaglowców. I także — przekonanie, że w tym gigantycznym, wielomiesięcznym happeningu, jakim był dla Polańskiego okres kręcenia zdjęć na pokładzie „Neptuna”, zagubiła się gdzieś sama opowieść o dzielnym kapitanie Redzie i poruczniku Zbie. A pozostała jedynie mozaika doskonale zaczętych, ale nie dokończonych wątków; świetnie nakręconych poszczególnych scen; gubiących się gdzieś tropów fabuły...

„Piratów” ogląda się, szczególnie podczas wakacji, z zaciekawieniem. Ale i z uczuciem, że coś w nich zostało zagubione, niespełnione mimo najlepszych chęci.

Mawia się o takich dziełach, że zostały zbyt długo „przenoszone” przez twórcę.

M.D.

Pocztą literacką

ADAM (bez nazwiska) z Lublina. Szkoła, że przysłał pan tylko jeden wiersz, bo to jednak za mało, aby kompetentnie ocenić pański talent. Ale parę rzeczy da się powiedzieć. Najpierw powinien pan popracować nad ortografią. Potem — wziąć się solidnie za odpowiednią lekturę. Na początek polecam wiersze dla dzieci Tuwima i Brzechwy, gdzie nauczy się pan koniecznej dyscypliny słowa. Potem radzę przesiadzić kilka tygodni nad „Trenami” Jana z Czarnolasu. Zobacz pan tam, że własne przeżycia powinno się opowiadać raczej głosem kochanym. Należy być dyskretnym w wychodzeniu do czytelnika ze swoimi sprawami, ponieważ czytelnik i tak ma dużo spraw własnych, i godzi się poświęcić czas na rzeczy naprawdę waż-

ne i piękne. A potem niech pan spróbuje coś znowu napisać. Czekam na rezultaty.

JANINA G. Lublin. Spośród nadesłanych utworów zatrzymuję do ewentualnego wykorzystania tylko „Pocztę Wielkiej Niedźwiedzicy”. Jest w tym wierszu jakiś niepokój i trudna do sprecyzowania tęsknota za innym, nieznanym i dalekim światem kosmicznym. Ten wiersz może nie tyle jest dobry (coż to w końcu znaczy?), co wzruszający i dlatego zostawia w czytelniku ślad. Może właśnie o to chodzi w poezji? Radziłbym jednak, unikać łatwego grania na emocjach, a to właśnie jest zasadniczym grzechem wszystkich pozostałych 12 wierszy. Jeżeli są to pani początki poezjowania, to proporcja: jeden udany wiersz na dwanaście nie jest jeszcze najgorsza. Niektórzy uznani pisarze spośród dwudziestu stron wyrzucają do kosza dziewiętnaście. Więc głowa do góry. I proszę podesłać coś za rok.

STANISŁAW C. Warszawa. Pańskie wiersze to jednak pornografia, chociaż ma pan inne zdanie. Oczywiście, spór o wyraźne granice pornografii jest nierozstrzygalny, ale — pozwól pan — pozostaną przy swoich intuicjach. Tak więc — do kosza. Nie zamówionych tekstów nie odsyłamy bowiem.

KAZIMIERZ N. P. Wrocław. Przysłał pan osiem wierszy, a zakończenie

jednego z nich, pt. „Co pamiętam” brzmi następująco:

„Widziałem proroków szarpających
przyprawione brody
widziałem szalibierzy wstępujących
do sekty biczowników
oprawców przebranych w baranie
skóry
którzy uchodzili przed gniewem ludu
grając na fujarce
widziałem widziałem”

Jest to żywcem przepisany początek wiersza Zbigniewa Herberta „Co widziałem” (poświęconego „Pamięci Kazimierza Moczarskiego”), który znajduje się w tomie „Raport z obłożonego miasta” (Paryż 1984) oraz w tomiku „Arkusz”, wydanym w Warszawie w 1984. Jak pan słusznie przypuszcza, lubię dobrą poezję, dlatego staram się czytać nie tylko to, co do „Kameny” przynosi listonosz. Lubię także dobrą zabawę, ale nie mam czasu sprawdzać, które z pozostałych wierszy są także plagiatami. Proszę wybaczyć, ale pańską produkcję umieszczam w całości w koszu na śmieci.

JULIAN W. Kielec. Ma pan rację, że powinniśmy zamieścić omówienie antologii „Współczesnej polskiej poezji Wileńszczyzny”, wydanej dwa lata temu przez wydawnictwo „Polonia”. Było dobrą tradycją przedwojennej „Kameny”, że śledziła uważnie twórczość poetycką za miedzą. W tym konkretnym przypadku tym bardziej zasługująca na

uwagę, że jest to przecież poezja należąca do literatury polskiej. Pańska recenzja nie kwalifikuje się jednak do druku. Akurat tak się składa, że mam w domu wspomnianą antologię i mogłem zweryfikować niektóre pańskie sądy. Nie zgadzam się z nimi stanowczo, jest pan ponadto nie dosyć wierny w cytatach. Ale jeżeli nie zgadza się pan z moją oceną, proszę przyjść do redakcji. Możemy podyskutować, gdyby był pan skłonny do napisania nowego tekstu.

RADOSŁAW J. K. Poznań, **BRONISŁAW A.** Gdańsk-Wrzeszcz, **STANISŁAW O.** Zielona Góra. Na druk jeszcze za wcześnie, chociaż wiersze zdradzają pewne zaczątki talentu. Proszę o kontakt za pół roku.

DANUTA T. Białystok. Bajka dla dzieci napisana tradycyjnym wierszem sylabotonicznym? Oczywiście, że tak, to się nie starzeje. Ale trzeba inaczej niż pani. To musi być świeże, nowe, ale zarazem proste. Niech pani zobaczy, jak robił to Puszkina, a z wzorców nowszych — Brzechwa. To są naprawdę dorozcy nauczyciele.

JAN Z. Raz już pisałem w „Pocście” że piosenek nie drukujemy. Proszę zwrócić się do jakiegoś zespołu młodzieżowego. Może do Budki Suffera? Pańskie teksty utrzymane są jakby w ich stylu.

HUMORESKI ANDRZEJA DREŻEWSKIEGO

Budka telefoniczna

MIAŁEM potrzebę porozmawiania przez telefon z bliską mi osobą. Obok budki telefonicznej siedziała na składanym krzeselku ładna dziewczyna. Ustawiłem się za nią i nachylając się, szepnąłem do jej ucha:

— Pani ma zapewne potrzebę porozmawiania przez telefon z mężczyzną sobie bliskim. A automat znowu nieczynny. Czekaj więc pani, aż go naprawią. Pozwoli pani, że poczekamy razem.

Sliczna paniątka przerwała wyszywanie na serwetce.

— Automat jest czynny. I nie psuje się. Rozmowy słycać wyraźnie.

Rzeczywiście! Po podwójnej opłacie doskonale było słycać, długo i prawie bez przerwy, piszący głos mojej znajomej. Po moim wyjściu z budki piękna kobieta powiedziała:

— No, nie mówiłam, że automat jest dobry. Od czasu, gdy wzięłam budkę w ajencję, ani razu się nie zepsuł. Ludzie teraz są zadowoleni, że mogą z niego dzwonić o każdej porze. Za to opłaty są wyższe, a rozmowy muszą być krótsze i ciekawsze. Pan płaci za nudną rozmowę (przepraszam, ale budka jest celowo nieszczelna) dodatkową opłatę — i wyliczyła na podstawie czasu trwania rozmowy i mojego częstego „tak jest” pokazała dopłatę.

— Radzę już więcej nie rozmawiać z tą panią przez telefon, bo inaczej to pan zubożeje — rzekła z uśmiechem ajentka, przymrużając filuternie lewe oko.

Jedyny ratunek

WKRECIŁEM arkusz papieru w maszynie do pisania, by spłodzić utwór satyryczny. Ale mimo, że czułem, iż wena laskocze mój mózg, pisanie szło mi jak po grudzie. Treść i forma się nie kleiły.

Żona w kuchni głośno ubolewała, że znowu w czasie zmywania naczyń zbiłem talerz.

Dziecko wróciło ze szkoły zapłakane, bo przeze mnie dostało dwóję. Pomogłem bowiem synkowi w odrobieniu lekcji, z czego wynikało, że kościuszkowcy pod Raławicami strzelali z pepeszy, a Edison wynalazł lampę naftową.

Świekra opowiadała, gdzie się dało, że nie umiem załatwiać spraw. Podkreślała, że nawet tak głupiej sprawie, jak dotycząca jej pyskówki z sąsiadem na schodach,

nie potrafię ukreślić iba w Komitecie Blokowym.

A jeszcze gorzej było w sklepie mięsnym. Podalem pomyłkowo ekspedientce kartę benzynową zamiast mięsnej. W związku z tym sprzedała mi 94 dekagramy żółtej łopatkii, importowanej z Chin, i 86 dekagramów zielonych parówek. I tak mój samochód na skutek braku benzyny ma przymusowy postój!

Jestem zmęczony czy wyeksploatowany? — kontemplowałem.

Wreszcie podjąłem ważką decyzję. Ogoliłem się starannie, spałkowałem rzeczy osobiste, ubrałem się świątecznie i pożegnawszy się czule z rodziną, poszedłem oddać się w ajencję...

Krzyżówka nr 16 szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać fragment książki współczesnego pisarza polskiego, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 12 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami.

Wyrazy pomocnicze:

1. jedno ze zbóż — 10, 92, 71, 80, 179, 64, 192, 102.
2. zajmowanie nowych terytoriów — 27, b, 31, 194, 52, 43, 66, 74, 19.
3. na stawie lub oku — 62, 88, 50, 150, 2.
4. słońce z lustercą — 55, 58, 99, 12, 9, 177, 30, 170.
5. jego książkę jest drugim synem króla Wspólnoty — 4, 12, 96, 160.
6. Lubelska, leży między Wisłą i Wieprzem — 15, 178, 77, 73, 190, 44.
7. sprawdzanie działalności, kontrola — 21, 109, 1, 23, 46, 180, 172, 187, 7.
8. ryba łososiowata — 26, 91, 14, 86.
9. figura geometryczna — 3, 152, 197, 29, 80, 75, 161.
10. przez niego roślina chwyta węgiel z powietrza — 24, 69, 76, 65.
11. sygnał — 16, 133, 112, 137, 81, 149.
12. przez niego przejeżdżają pociągi z Warszawy na północ — 20, 34, 5, 82, 56, 38, 155, 35.
13. rzeka Polski — 47, 110, 196, 126, 159.
14. przysmak Ezawa — 156, 37, 79, 94, 70, 123, 135, 176, 188.
15. brak brudu — 87, 72, 124, 59, 33, 195, 85, 144.
16. zakład mięsny — 113, 167, 115, 101, 134, 143, 130.
17. buraki z chrzanem — 175, 118, 154, 28, 131, 17.
18. najważniejsze było Adama — 136, 157, 63, 116, 166.
19. odzież z barana — 186, 84, 189, 127, 93, 139.
20. ptak Minerwy — 189, 181, 83, 61.
21. sucha gałązka brzoza — 158, 162, 114, 165, 22.
22. jego ideologią jest marksizm — 54, 140, 128, 120, 41, 182, 191, 125, 32, 119.
23. popularny metal — 45, 164, 42, 104, 173, 48.
24. wziętka — 49, 132, 90, 100.

25. przerób metalu w piecu hutniczym — 183, 117, 105, 25, 13.
26. trofeum — 103, 141, 171, 147, 174, 122, 51.
27. najbardziej północny fragment Polski — 163, 39, 57, 148, 153, 184, 111.
28. matka Heraklesa — 129, 108, 68, 185.
29. kopalnia soli — 107, 188, 95, 11.
30. pod okularami — 67, 138, 142, 89.
31. od północy do północy — 18, 106, 198, 146.
32. zwierchnik — 40, 97, 151, 6.
33. wykorzystywanie cudzej pracy — 53, 78, 145, 98, 193, 36.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji

(skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 1000 złotych.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 14 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Pamiętasz, Danila-młynarz pił, to go nikt za człowieka nie uważał. Pijanica i już. Tak go nazywali: Danila-pijanica. On jeden tak chlwał, więcej nikt. A teraz Golubiew nie pije, to go znów za człowieka nie mają, podśmiewają się.

Walentin Rasputin
„W OSTATNIĄ GODZINĘ”
Nagrodę wylosował Tadeusz Sidoruk, ul. Lipowa 38, 22-200 Włodawa.

			1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11		12	13	14
15	16	17	18	19	20	21	22		23	24	25	26	27	28	29	30	
31	32		33	34	35		36	37	38	39	40	41	42	43	44		45
46		47	48	49	50		51	52	53	54	55	56		57	58	59	60
61	62	63	64	65		66	67	68	69	70		71	72	73	74	75	76
	77	78	79	80	81	82	83	84	85	86		87	88	89		90	91
92	93	94		95	96	97	98	99	100	101	102		103	104		105	106
	107	108		109	110	111		112	113	114	115	116	117	118	119	120	121
122		123	124	125	126	127	128	129	130	131	132	133		134	135	136	
137	138	139	140	141	142	143	144		145	146		147	148	149	150	151	152
153	154	155	156	157	158	159		160	161	162	163	164	165	166		167	168
169	170	171	172	173	174	175		176	177	178	179	180	181	182	183	184	185
186		187	188	189		190	191	192		193	194	195	196	197	198		199

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Ireneusz J. Kamiński, Andrzej W. Pawluczuk (sprawy literackie); interesantów przyjmuje we wtorki w godz. 13-14. Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unieka 4.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 252-30.

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 3/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publiczny styki i literacki 275-38. Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-930.

Lublin, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1374. 7.07.88. 5-4.

Letnie igraszki w obiektywie Cezarego Krupy



Kierowco! Przed urlopem sprawdź stan techniczny swego pojazdu!



Można i tak ... wypoczywać

